

# Fantastyka

wydanie specjalne

cena 9 zł 99 gr (w tym 8% vat)

numer 3 (44) 2014



PROSZYŃSKI  
MEDIA

Charles  
STROSS

Equoid

Agnieszka  
HAŁAS

Pokłosie pewnego bankructwa

Radomir Darwiła - Trzy do dwóch dla Nowogóry

Wojciech Zembaty - W imię umarłych

Malcolm Cross - Dom Pawłowa

Alec Austin - Pokuta

# POKŁOSIE PEWNEGO BANKRUCTWA

AGNIESZKA HAŁAS



Daniel Gieszkiewicz

*Czyż istnieje na świecie istota bardziej chytra i podstępna niż czarny mag, ka-ira? Umieją oni przybrać każdą postać i oszukać najmądrzejszego, co wobec faktu, iż wyzuci są z sumienia, litości i wszelkich ludzkich odruchów, czyni ich podwójnie niebezpiecznymi. Pospółstwo zwie ich żmijami, bo serca ich są prawdziwie gadzie.*  
Amaris ar Vanth, „O naturze skazy”

## 1.

Kiedy pan Lypsis, oficjalnie jeden z najbardziej wziętych adwokatów w Fal Tirra, a nieoficjalnie człowiek piastujący wysokie stanowisko w strukturach Synów Tarantuli, ni stąd, ni zowąd paskudnie się rozchorował, szybko zorientowano się, że nie jest to skutek ani nadużycia trunków, ani nierozważnego objedzenia się czymś ciężkostrawnym.

Gdy gildie przestępcze załatwiały porachunki między sobą, najczęściej po prostu wysyłały skrytobójców; choć każda miała na swoich usługach kilku czarnych magów, rzadko angażowano ich do takich zadań. Zbyt szybko skończyłoby się to przyciągnięciem uwagi Elity. Srebrni magowie od stu kilkudziesięciu lat robili wszystko, aby wytepić czarną szkołę magii, a choć nie byli wszechwiedzący ani wszechpotężni, pozostawali zagrożeniem na tyle poważnym, że nie należało ich lekceważyć.

Zawsze jednak istniała możliwość, że ktoś z zewnątrz, wystarczająco bogaty i zdesperowany, wynajął żmija należącego do żadnej z rywalizujących organizacji. Lub też – że jakiś żmij miał własny prywatny zatarg z Tarantulą. Jasme Grinaldi, sekretarz Lypsis, nie wątpił, że prawda prędzej czy później wyjdzie na jaw. Tymczasem wszakże trzeba było ratować życie chorego. Śmierć Lypsis, byłaby ciężkim ciosem dla organizacji.

Spędziwszy nerwowy ranek w kancelarii i mając już serdecznie dość rozmów z klientami, przed którymi musiał ukrywać chorobę zwierzchnika, około południa Grinaldi został poproszony na piętro. Od służącej dowiedział się, kto czeka w gabinecie adwokata.

Od progu uderzył go odór skwaśniałego nabiału, zgnitych ryb, starych onuc i wódki. Westchnąwszy w duchu, sekretarz wyjął z kieszeni skropioną perfumami chusteczkę i przyłożył do nosa.

Demonolog pracujący dla Synów Tarantuli, niejaki mistrz Raspahl, skłonił się nisko i wymamrotał powitanie. Wyglądał jak kupa szmat zwieńczona strzechą brudnych kudłów, z nosem niczym wiśniowa narośl. Przypuszczalnie nie miał styczności z mydłem od dobrych trzydziestu lat. Za to ewidentnie nie gardził gorzalką.

Wszyscy członkowie Zakonu Mgły wyglądali i cuchnęli podobnie. Grinaldi słyszał kiedyś, że szkolenie psuje im coś w głowie, przez co cierpią na różne dziwactwa, między innymi panicznie boją się wody.

Profesjonalnie opanowany i uprzejmy jak zawsze, powitał starca, który wyjaśnił z niezadowoleniem, że choć domagał się, by go wpuszczono do chorego, pani Lypsis stanowczo się na to nie zgodziła. Musiał więc zadowolić się kosmykiem włosów adwokata oraz szklanym naczyniem pełnym jego moczu.

– Panie Grinaldi, zająrzałem w kryształową kulę, zbadałem włosy tudzież mocz metodą profesora Fulpa – wychrypiał – i dla pewności dwa razy rozłożyłem jeszcze potem karty. To nie jest ani choroba, ani trucizna, ani klątwa. Pana Lypsis, dręczy demon. Z Otchłani.

Sekretarz natychmiast pomyślał, że ten przemądrzały cudzoziemski medyk, co pierwszy zajmował się adwokatem, jednak zna się na rzeczy. Wprawdzie dla porządku zaordynował środki na wymioty i na przeczyszczenie, a później laudanum, ale od samego początku twierdził, że to nie jest sprawa dla niego.

– Znaczący, opętał go?

– Nie. Tylko go dręczy.

– Tylko go dręczy – powtórzył Grinaldi. Pomyślał z rezygnacją, że w całej sytuacji kryje się szczypta wisielczego humoru, ale nie było mu do śmiechu.

– Zapłacono mu – kontynuował posępnym tonem demonolog. – Demona można wynająć, tak jak, nie przymierzając, wynajmuje się zucha z rapierem. Składa się w ofierze, dajmy na to, wołu. Albo dwadzieścia wołów. Albo dziewczę. Następnie zadano go panu Lypsisowi w pokarmie.

# TRZY DO DWÓCH DLA NOWOGÓRY

RADOMIR DARMIŁA



Daniel Grzeszkiewicz

– Kobold! – wrzasnął karczmarz i rzucił się na mnie, rozcapierzając palce. – Zabić kobolda!

Jeszcze nigdy nie witano mnie w ten sposób, ale nie dałem się zaskoczyć. Zareagowałem szybko, uskakując na drugi bok lady.

Kątem oka zauważyłem, że trzech opojów, śpiących nad kufłami z piwem, również poderwało się na nogi. Nie bałem się ani trochę; bardziej byłem zadowolony, dlaczego karczmarz tak koniecznie chciał mnie ukatrupić. Wyglądał na przygłupa, a byle przygłup nie złapie skrzata, choćby z butów wyskoczył. Zresztą największy nawet idiota powinien być w stanie odróżnić skrzata od kobolda, więc wkrótce przygłup powinien sobie zdać sprawę ze swojej pomyłki. Byłem pewien, że nieporozumienie szybko się wyjaśni i skończy się na śmiechu i przeprosinach, prawdopodobnie okraszonych odrobinką darmowego piwa.

– Wielmożny panie – zacząłem, uskakując przed kolejnym ciosem szmaty – raczcie zaczekać chwilę... – Przeskoczyłem z lady na pobliski stół. – Zważcie, że jam skrzat, nie żaden...

– Mam go, Fursthof! – krzyknął grubas przy stole, próbując mnie złapać. – Nie, jednak nie mam! Cholera! Wymknął się!

– Skocz który po sieć! – wydzielali się pozostali. – Gdzie się pchasz z tym nożem, idioto! Zamknijcie drzwi, żeby skurczysyn nie uciekł!

– Ależ panowie... hopsa! Uspokójcie się proszę... hop! Jak już wspominałem... ajaj! Nie jestem koboldem... – Przy ostatnim słowie z trudem uchyliłem się przed kufłem, który rozbił się na ścianie. Na podłodze rozbryznięto się piwo pomieszanego z odłamkami szkła.

– Moje kufle! – zaczął rozdzierająco karczmarz. – Zapłaci mi za to, skurczysyn jeden! – Miałem dziwne wrażenie, że miał na myśli mnie, a nie opoja, który kufłem rzucał. Nie miałem czasu się zastanawiać. Szczerze mówiąc, nie miałem już nawet czasu, by złapać oddech, uskakując przed rzucanymi we mnie widelcami i talerzami, podczas gdy karczmarz i jego przygłupi kumple usiłowali mnie rozdeptać, rozgnieść krzesłami albo zatłuc kijami.

Wreszcie opadli z sił – w samą porę, bo mi też już latały mroczki przed oczami – i patrzyli na mnie wrogo, dysząc ciężko. Wskoczyłem znowu na ladę i ukloniłem się nisko.

– Wielmożni panowie, to jakieś nieporozumienie. Jestem skrzatem szukającym pracy. Przeganiam płaksy, nocnice, po-  
mniejsze złe duchy oraz... ajaj!

– Nie puść go tylko! – zakrzyknął karczmarz i tygrysim skoki znalazł się przy ladzie, na której szamotałem się, próbując się uwolnić od rzuconej na mnie ściery. Co za upokorzenie: skrzat złapany przez bandę miejskich przygłupów. Kto mógł mnie tak podejść?

– Nie puszczam, tatku! – powiedział dziecięcy głosik. Właści-  
ciela głosiku nie widziałem, ale czułem jego paluszki dławiące mi oddech. – Pójść po młotek?

Młotek!?

– Po co młotek, tylko wam ładę zapaskudzi – syknął jeden z opojów. – Unurzać w nafcie, podpalić i puścić. Będzie iluminacja na imieniny jego cesarskiej mości.

– Bez sensu – wtrącił ten gruby, co to jednak mnie nie złapał. – Może przeżyć. Lepiej związać skurczysyna i dać kotu. Albo psu.

– O nie! Tylko nie psu! – krzyknąłem, starając się brzmieć na przerażonego, a w duszy modląc się: oby rzucili mnie psu! Psy, jak wiadomo, skrzatów nie ruszają.

– Mam lepszy pomysł – sapnął karczmarz, rozchylając ścięgę, żeby się upewnić, że jeszcze w niej jestem, i prawie dotykając mnie tłustym nochem. – Utopimy skurczysyna w szambie. W końcu wy, koboldy, najwidoczniej uwielbiacie takie rzeczy, co? Podobają ci się ten pomysł, koboldzie?

– Spławimy kobolda? – szybko zapytał dziecięcy głosik, należący do karczmarzowej progenitury. Karczmarz w tym czasie zawinął mnie porządnie, tak że z trudem łapałem powietrze.

– Spławimy – potwierdził karczmarz, a mściwy ton jego głosu zmroził mi ciało do kości.

– A mogę ją trzymać za sznurek? – z nadzieją w głosie indaga-  
gował dalej wstrętny pomiot. A żebyś się gówniarzu potknął nad szambem i wpadł razem ze mną! Karczmarz nie zdążył odpowiedzieć.

– Co tu się dzieje? – odezwał się nagle nowy głos. Głos na-  
wykły do posłuchu.

– Mam kobolda, jaśnie wielmożny panie! – radośnie zamel-  
dował dziecięcy głosik.

# W IMIĘ UMARŁYCH

## WOJCIECH ZEMBATY



Daniel Grzeskiewicz

*Przedwczoraj szlachetny księżę, dziś nieruchomy trup  
Jutro będziesz pokarmem robaków,  
potem lekkim popiołem i pustą bajką.  
„Kronika Kosmasy”*

Później Brenna śmiała się z ich pierwszego spotkania – jeżeli akurat nie płakała. Fritjolf był młody i wysoki, nawet jak na barbarzyńcę. Prowadził konia z towarem, ale do siodła miał przytroczony oręż wojownika, wielki miecz ze znakiem słońca z rozchodzącymi się kolcami promieni. Nosił wywrócone sierścią na wierzch futra i płaszcz ze zszytych wełnianych pasów. We włosy wplótł klanowe amulety i pióra czapli. Wrażenie nieporadności mijało, gdy spojrzano się w jego pałające oczy. W tym przypadku wyświechtany zwrot był jak najbardziej na miejscu. Miał się przy tym przeczucie, że ogień dopiero się tli.

Mieszkańcy fortu patrzyli na niego z zaciekawieniem. Tylko stary Giddus zjeżył się, ściskając oszczep, z którym nie rozstał się nawet w wychodku. Dobrze znał barbarzyńców.

– A gdzie reszta? – spytał, podrzucając broń i łapiąc ją zręcznie, czym popisując się nader chętnie. Sepio stanął za plecami ojca jak wielka, posępna skarpa, gotowy rozszarpać obcego. Przechodząc, nie omieszkiał klepnąć Brenny w tyłek i dziewczyna poczuła, jak wnętrzności gotują się jej z nienawiści do tego człowieka.

– Reszta? Podróżowałem sam. – Nieznajomy uniósł brwi, przez co jego żarzące się oczy wydały się Brennie większe i bardziej niepokojące.

– Bustergowie wyruszyli na szlaki krwi. A ty jesteś Vardingiem. Nie przeszedłbyś żywy przez lasy.

– Dużo wiesz o sprawach zza waszych murów, starcze – odparł obcy, krzywiąc się kpiąco. Po chwili rozłożył ręce w pokojowym geście.

– Zwą mnie Fritjolf. Wiozę bursztyn, fiszbin i futra lodowych lisów. Poza tym nawet Varding przejdzie przez kraj Bustergów, mając to – powiedział, wręczając weteranowi niewielkie zawiniątko. Znajdująca się w nim czaszka była biała jak śnieg, przez co zdobiące ją farbowane krwią pióra wydawały się jeszcze czerwiejsze.

– Czara Bogów – wyszeptał Giddus i skłonił głowę z szacunkiem.

– Najprawdziwsza. Zapewnia posiadaczowi nietykalność u wszystkich ludzi. Oczywiście, nie dotyczy to barbarzyńców. – Nieznajomy uśmiechnął się, obrzucając wzrokiem traperów i ubranych w tuniki rolników.

– Ja znam... wasze zwyczaje – powiedział Giddus powoli. Zastanawiał się jeszcze, ale Sejan, kancelista z fortu, który był kopalnią najświeższych wojskowych plotek, poklepał go uspokajająco po ramieniu.

– Słyszałem, że do Agappy przybyło poselstwo Vardingów. Chłopak musiał się zgubić po drodze.

\*\*\*

Posadzony w świetlicy, gość rzucił się łapczywie na ofiarowaną mu miskę jęczmiennej kaszy. Posilił się szybko i oblizał palce.

– Słyszeliście o Białych Łzach? U was mówi się Ludic Vele, Pole Ocalenia. Szukam ludzi, którzy walczyli w tej bitwie.

Zapadła cisza. Giddus czuł na sobie świdrujące spojrzenie kancelisty. Słyszał, że drań przyjaźni się z legionowym komisarzem i donosi mu o postawach obywateli. Bitwa była niebezpiecznym tematem, podobnie jak poprzedzający ją najazd dzikich, który zmienił się w ogólnokrajowe powstanie. Nikt nie widział, w jaki sposób Cesarstwo ją wygrało ani jakie poniosło straty. A ci, którzy się tym interesowali, często znikali bez śladu.

– Obawiam się, że nikt nie przeżył. To znaczy, nikt z Vardingów. Ale to już przeszłość – powiedział stary ostrożnie. Fritjolf pokiwał głową.

– Tak mówią. Ale kości mego brata i tak muszą wrócić do domu. Jego dusza wciąż nie zaznała spokoju – powiedział Varding z naciskiem. Giddus stęzał, przeszyty zimnym przeczuciem śmierci. Bezlitosnym jak nienawiść i lutowy zmierzch, jak ostrza błyskające wśród śniegów. Jak prawo klanowej pomsty. Gwar kantyny umilkł, zastąpiony rozmytym szumem. Weteran miał wrażenie, że przy szynkwasie i dębowych stołach pod szatami stałych bywalców połyskują kości, a twarz jego rozmówcy jest wyszczerzoną maską. Potem wizja rozmyła się, a on zakrztusił się piwem, które wcale nie smakowało jak krew.

# EQUOID

CHARLES STROSS

(Equoid)



Daniel Grzeszkiewicz

– Bob! Bardzo jesteś zajęty? Potrzebuję cię na moment.

Tych osiem słów nigdy nie wróży nic dobrego – aczkolwiek padając z ust Iris, mojej nowej kierowniczkii, nie zwiastują zagłady aż tak nieuchronnie, jak kiedy wypowiada je kilka innych osób, które mógłbym w tym miejscu wymienić. W ciągu dwóch miesięcy naszej współpracy Iris okazała się najbardziej przytomnym i rozsądnym szefem, jakiego miałem od pięciu lat. A to wiele znaczy, naprawdę. I właśnie dlatego staram się ją uszczęśliwiać tak bardzo, jak tylko potrafię.

– Daj mi, proszę, dziesięć minut – wołam przez otwarte drzwi swojego biura. – Muszę najpierw odpowiedzieć na pytanie z HR.

Dział zasobów ludzkich ma ostre kły, zwłaszcza tutaj, w tajnej agencji brytyjskiego rządu, znanej tyrającym w niej galernikom jako Pralnia; kiedy więc HR prosi, by człowiek odrobił za nich lekcje – ahem, by wyraził własną opinię na temat przydatności kandydata na daną posadę – należy przyznać im priorytet wyższy niż własnej robocie. Nawet kiedy jest oczywiste, że po prostu robią sobie jaja.

„Jestem głęboko przekonany, że pan Lee mógłby się okazać niebywale cennym uzupełnieniem Zespołu Pozyskiwania Wypożyczenia Biurowego” – wystukuję na klawiaturze – „gdyby tylko nie był” – o czym dowiedziałem się z waszej własnej bazy danych, do której nie chciało mi się zerknąć – „porucznikiem brygady Jiangshi Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej”. Porucznikiem, który zapewne wypełnił formularz rekrutacyjny – jaki zresztą nie powinien był trafić do internetu – w ramach pijackiego zakładu, w celu sprawdzenia szczelności naszych procedur lub z innego, podobnego powodu. „W związku z powyższym skłaniam się ku podejrzeniu, że nie przeszedłby nawet pierwszego etapu naszej standardowej kontroli bezpieczeństwa, obowiązkowej dla wszystkich kandydatów” (o ile odpowiedzialny za jej prowadzenie pracownik nie jest kolejną wtyczką Chińczyków).

Klikam „Wyślij” i wychodzę na zalany światłem jarzeniówką korytarz, gdzie Iris już czeka i niecierpliwie tupie.

– Do ciebie czy do mnie?

– Do mnie – odpowiada, zapraszając gestem do swojego ciasnego gabinetu. – Siadaj, Bob. Coś się wydarzyło i wydaje mi się, że to dokładnie twoja działka – sadowi się za biurkiem, opiera wygodnie w fotelu i zaczyna mnie urabiać. – Dzięki tej sprawie wyrwiesz się na trochę z biura, a skoro HR wykorzystują cię do deptania marzeń nadmiernie ambitnych funkcjonariuszy chińskiego wywiadu, to znaczy, że jesteś...

– Niedostatecznie wykorzystywany. Tak, jasne – macham ręką. Chociaż ma rację: odkąd rozwiązałem tę zabawną sprawę w piwnicy kolegium świętej Hildy, mocno się nudzę. Powszednie zajęcia przeciętnego tajnego agenta sprowadzają się głównie do oczekiwania. W moim wypadku polega ono na pomaganiu kolegom w uciążliwych zadaniach administracyjnych oraz na usprawnianiu działania wydziałowej sieci – o ile nie odwołują mnie akurat, bym mordował wywijające mnogimi mackami monstra spoza czasoprzestrzeni (to jednak wcale nie zdarza się zbyt często, z czego jestem niezmiernie zadowolony). – Wspominałaś, że miałbym wyrwać się z biura?

– Tak – Iris rozciąga usta w uśmiechu, już wie, że chwyciłem przynętę. – Strasznie jesteś blady, Bob, więc uznałam, że odrobina świeżego, wiejskiego powietrza dobrze ci zrobi. Powiedz tylko... – pochyla się naprzód. – Znasz się na koniach?

Pytaniem na temat jednokopytnych wzięła mnie z zaskoczenia.

– Czy znam się...? – kręcę głową. – Mają cztery nogi, kopyta i niecny charakter?

Tym razem to ona kręci głową.

– Baba z wozu, koniom lżej?

– Nie, Bob, w zasadzie interesuje mnie, czy umiesz jeździć?

– Pytasz, czy... Zaraz, na pewno nie masz na myśli rowerów? – Reakcja szefowej pozwala mi się domyślić, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała. – Ja jestem miastowy chłopak. Jak to powiedział pewien fotograf, w miarę możliwości nigdy nie należy pracować z dziećmi i zwierzętami. A co się właściwie stało? Tragiczny wypadek w szkółce jazdy konnej?

– Nie do końca – uśmiech Iris gaśnie. – A szkoda, byłoby stanowczo łatwiej.

# POKUTA

(Atonement)

ALEC AUSTIN

Daniel Grzeszkiewicz



Przybyliśmy do Daharu nocą, śledząc generała Turghara przez spustoszoną okolicę. Kości nawiedzonego miasta – kupy gruzu, zniszczone mury i puste wieże – były białe niczym wyschnięte słone jeziora, które mijaliśmy po drodze, zimne i blade jak śmierć.

– Dlaczego Stary tu wrócił? – mruknęła sierżant Chesha, kiedy zatrzymałam kolumnę o rzut kamieniem od zachodniej bramy. Od pięciu lat w Daharze nie było roślin, zwierząt ani ludzi. Pięć lat temu zdobyliśmy miasto i zalaliśmy jego mury i ulice czerwinią krwi.

– Kapitanie Zrana – odezwał się sierżant Irkan, zatrzymując konia koło Cheshy. – Jakie rozkazy?

– Daj wody ludziom i koniom – powiedziałam mu. – I przyprowadź mi kapłanów. – Musiałam wiedzieć, co mogło się zdarzyć; co próbował zrobić generał.

Chesha parsknęła, kiedy Irkan zawrócił wierzchowca i zaczął wyrzaskiwać rozkazy. – Niewidomy zaratusztrianin i eunuch Xiong? Zymt musiał przywiązać ich do siodła, żeby nie spadli.

– Spokojnie, Chesha – powiedziałam, patrząc na to, co zostało z zachodniej bramy. Taran, którego użyliśmy do jej zniszczenia leżał obok zardzewiały. – Eunuchowie i fanatycy też mogą się czasem na coś przydać.

– Racja, a sępy też muszą jeść. – Uśmiechnęliśmy się do siebie kwaśno. Był to jeden z żartów generała z okresu przed dekadą wojny domowej, która wyssała z niego całe poczucie humoru. Z czasów przed bitwami pod Surnamem, Kurquandem i Aktarem; przed drugą bitwą pod Surnamem, bitwą pod Bursą, czwartą bitwą pod Aktarem i wszystkimi strasznymi, krwawymi potyczkami stoczonymi w wyschniętych korytach rzek i kanionach, które miały nazwy tylko w językach koczowniczych plemion. Nic dziwnego, że po dziesięciu takich latach potraktowaliśmy Dahar w ten sposób.

Przestałam śnić na jawie, kiedy zbliżył się do mnie Irkan, prowadząc duchownych. Ślepy zaratusztrianin był ubrany w zakurzone białe szaty, natomiast eunuch w czarny płaszcz maga.

– To miasto jest przeklęte – oznajmił eunuch – egzorcysta, wodząc wzrokiem między mną i lśniącymi w świetle księżyca ruinami Daharu. – Niezliczone duchy czają się za tymi murami, pragnąc krwi i zemsty.

– Każde dziecko mogłoby powiedzieć mi to samo – odparłam. – Czy to wszystko, co masz do zaoferowania?

Ciszę, która po tym nastąpiła, przerwał głos niewidomego kapłana.

– Łaskawy kapitanie, twój generał niesie ze sobą iskrę Świętego Ognia. Wędrował przez ciemne miejsca i skradł największy dar Ormuzda dla człowieka. Nie wyniknie z tego nic dobrego.

– Nie czas na zagadki – warknęła Chesha. – Dlaczego królowa wysłała was z nami? Obawia się czegoś, co może zrobić generał?

Eunuch zmarszczył brwi i zerknął na swojego towarzysza. – Z tego, co mówił wcześniej wynika, że przyszedł, by oczyścić miasto z duchów.

– Nie – odpowiedział ślepiec. – Chce pochłonąć wszystkie zjawy, stać się dewą.

Zaczęli się sprzeczać, a po chwili krzyczeć na siebie.

– Dość! – krzyknęłam. – O co dokładnie wam chodzi? Twierdzicie, że generał stanie się równy najpotężniejszemu sługom Arymana, czy że upodobni się do duchów, które pochłonie?

– Najślabsze dewy to tylko złośliwe szept w wietrze – powiedział niewidomy kapłan. – Gromadzą się w nocy i kwaszą mleko albo rozsiewają choroby. Wasz generał ma jednak do dyspozycji całe miasto zjaw, więc nie stanie się jedną z nich. Będzie wodzem armii zł; potworem odzianym w ludzkie ciało, niewiele słabszym od arcydemonów i dewów, które zrywają gwiazdy z nieba.

Rozwazałam znaczenie tych słów, a wiatr poruszał piasek u stóp ślepca. – Egzorcysto, czy to, co mówi czciciel ognia jest możliwe?

– Możliwe? Pewnie tak. Potrzeba jednak całych dekad, by opanować sutry pochłaniania duchów, a wasz generał spędził tylko kilka lat wśród niedouczonej mnichów w Kurqandzie – oznajmił i pociągnął nosem, jakby to wyjaśniało sprawę.

– Nie ma rzeczy zbyt trudnych dla tych, którzy słuchają głosu złych zjaw – odciął się niewidomy kapłan. – Nikczemność przyciąga nikczemność. Wasza królowa słusznie się lęka.

– Odłóżmy na bok sutry, dewy i polykanie duchów – powiedziałam. – Generał chce oczyścić miasto ze zjaw?

– Tak – oznajmili obaj kapłani.

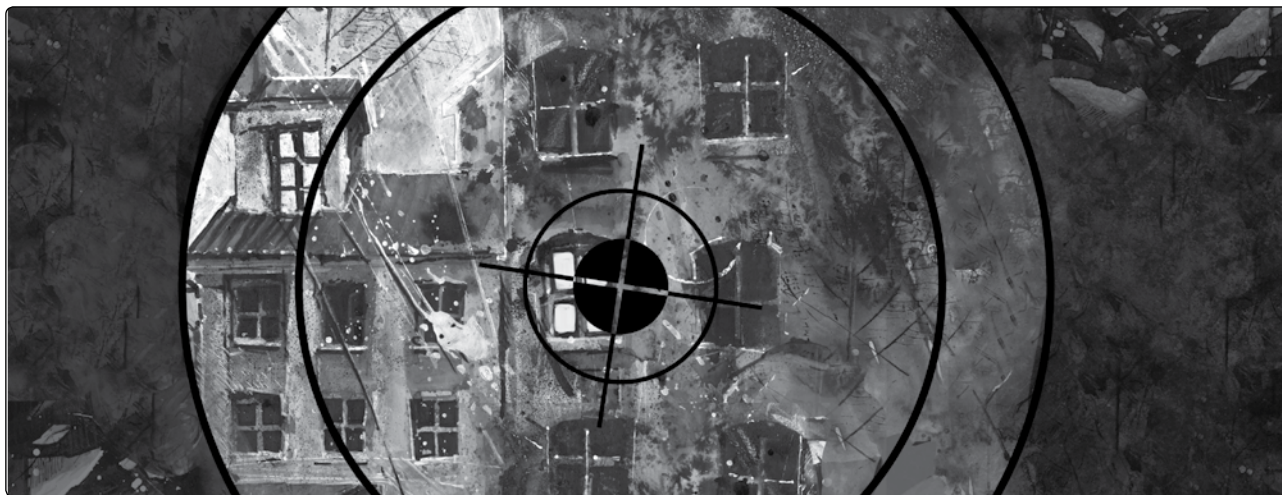
Wymieniłam spojrzenia z Cheszą i Irkanem. Dahar leżał u wylotu przejścia do Xiong, które od stuleci było używane do

## DOM PAWŁOWA

MALCOLM CROSS

(Pavlov's House)

Daniel Grzeszkiewicz



*Kiedyś byłem silny i wierzyłem, dziś jestem mały i nie wierzę.*  
anonimowy żołnierz niemiecki, Stalingrad, 1943

\*\*\*

Sen zawsze zaczyna się tak samo.

Kropla deszczu przesącza się przez połamane bloki betonu, które służą za sufit, i wpada dziecku do oka. Deszcz jest bardziej zabójczy niż pociski, które rozerwały wyższe piętra bloku mieszkalnego, i lepiej nadaje się do penetracji budynku oraz zabijania jego mieszkańców.

Stworzone w laboratorium zarodniki broni biologicznej, które rozpylono podczas wojny eurazjatyckiej, przetrwały w cyklu hydrologicznym przez czterdzieści lat. Wysychają, zostają porwane przez wiatr, wsiąkają w chmury, a potem razem z deszczem spadają na ziemię i tak w kółko, dopóki nie zetkną się z ludzkim ciałem. Wtedy powłoka zarodnika pęka, uwalniając swoją zawartość.

Z oka dziecka zarodnik przedostaje się na dłoń matki, a stamtąd na jej pozostałe dzieci. W ciągu dwudziestu minut wszyscy są martwi. Wiją się w skurczach, charczą i duszą się. Trwa to dłużej niż samo doprowadzenie przez zarodnik do anafilaktycznego szoku i spuchnięcia wszystkich tkanek w organizmie.

Setzen, Eversen, Sokolai, Stolnik, Eberstetten, Ereli i Steinfeldel przestali pić deszczówkę.

Powiedziano im, że są odporni i że zarodki broni biologicznej zostały zaprojektowane tak, aby zabijać konkretnych ludzi, a oni są przecież tylko psami stworzonymi na wzór człowieka. Nie są pewni, czy powinni w to wierzyć czy nie, ponieważ laboratoria, które zaprojektowały zarodniki i ogłosiły światu, że to bezpieczny sposób na zakończenie wojny, były tymi samymi ośrodkami, które stworzyły psy i nazwały je nową, etyczną formą idealnego niewolnika. Dziś niewielu ludzi wierzy już w zapewnienia szefów firmy Estian Incorporated.

W domu nie ma wody, jest tylko deszczówka. Wodociągi zablokowano wraz z wybuchem rewolucji. Kiedy bracia zabarykadowali się w domu – używali tego określenia, choć tak naprawdę był to niewielki blok mieszkalny – w spluczkach toaletowych znajdował się już tylko rdzawy osad. Bojlery zupełnie wyschły, a w rurach dawno przestało bulgotać.

Obok zwłok najstarszego dziecka leży puste wiadro. Drugiego dnia rodzina z piwnicy piła z niego wodę i zaproponowała, że podzieli się nią z braćmi – mimo że byli psami – ponieważ w ich świętej księdze znaj-

dowała się opowieść o kobiecie, która napiła psa i została zbawiona. Poza tym mieszkańcy Tadżykistanu nie lubią psów. Nie lubią braci.

Bracia uprzejmie wtedy odmówili. W końcu rodzina to byli cywile, a w dalekim Rezerwacie Środkowej Ameryki – czyli domu braci – zatrudniono ich przecież do ochrony cywilów.

Wody wystarczyło na trzy dni, a więc do momentu zakończenia rewolucji. Matka i dzieci nie chcieli jednak opuszczać budynku, ponieważ w biały dzień rewolucjoniści zlinczowali ojca rodziny, kiedy ten wyszedł na zewnątrz zobaczyć, czy jest już bezpiecznie.

Kropla po kropli wiadra napelniają się deszczówką. Setzen z suchymi ustami obserwuje drżącą powierzchnię wody.

Przez ostatnie dziewięćdziesiąt sześć godzin zabijał ludzi. Nie spał. Nie potrafi jasno myśleć. Wraz z braćmi przy pomocy pistoletów zabijali rewolucjonistów, którzy przyszli zabrać ich z tego domu. Wraz z braćmi przy pomocy pięści zabijali rewolucjonistów, którzy przyszli zabrać ich z tego domu. Wraz z braćmi przy pomocy zębów, stóp, noży, cegieł, butelek, rozbrojonych granatów i rur wyrwanych ze ścian zabijali rewolucjonistów, którzy przyszli zabrać ich z tego domu.

Setzen uważa, że powodem, dla którego rewolucjoniści zabili ojca rodziny, była butelka alkoholu przemysłowego. To prawda, bracia nie powinni podpałać tamtego rewolucjonisty i zrzucać go z ruin trzeciego piętra, ale ci wywrotowcy nigdy, kurwa, nie zrozumieją, że nie uda im się wyciągnąć braci z tego budynku, żywych ani martwych, ponieważ bracia są psami, zaprogramowanymi do zabijania ludzi szybciej i skuteczniej niż zarodki broni biologicznej.

Niezależnie jednak od tego, jak bardzo jest wściekły, Setzen jest też spragniony. Od czterech dni nie miał wody w ustach. Od czterech dni nie jadł i nie spał. W ciągu tych czterech dni zabił pięćdziesiąt siedem osób.

Sześćdziesiąt dwie, zakładając, że jest odpowiedzialny również za śmierć rodziny.

Do tego momentu sen jest rzeczywistym obrazem przeszłości. Jego dalszy ciąg różni się od tego, co się wydarzyło.

Setzen boi się wody. Czuje, że zaraz się posika i że futro podnosi mu się na całym ciele; czuje się jak prawdziwy, czworonożny pies, który za chwilę zostanie skopany. Boi się.

Pije wodę. W pierwszej chwili wszystko wydaje się w porządku. Chłepcząc, czuje, że język mu nie puchnie. Serce nie przyspiesza. Nie zaciska się gardło. Oddycha z łatwością. Woda jest chłodna i świeża. Po raz pierwszy od kilku dni nie jest już spragniony.